

Dieta (nie) życia

Autor: Agnieszka Mazur, Karolina Otwinowska

(...)

Jaki był początek tego wszystkiego? Nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia, kiedy dokładnie zaczęłam chorować. Etykietkę rasowej anorektyczki dostałam, ważąc jeszcze pięćdziesiąt osiem kilogramów, ale moje problemy rozpoczęły się dużo wcześniej. Gruba czułam się, od kiedy pamiętam, ale nie zawsze mi to przeszkadzało. Na szkolnych fotografiach zajmowałam najwięcej miejsca, ale to głównie dlatego że byłam dość wysoka. Z biegiem czasu i rozwojem firmy McDonald's rosłam nie tylko w pionie, ale przede wszystkim na boki. Nigdy jednak nie potrafiłam odmówić sobie smażonego kurczaka z frytkami i buraczkami na zasmażce, które babcia przygotowywała specjalnie dla mnie. Przykro robiło mi się, jedynie gdy obserwowałam szczupłe sylwetki koleżanek z podwórka. Zazdrościłam, że są takie zwinne i świetnie udaje im się kręcić hula-hoopem. Mimo wszystko nikt mnie nie odtrącał, a ja dzielnie obracałam tę plastikową obręcz na mojej nieco grubszej talii. Ewentualne porażki i smutki zawsze mogłam utopić w kubku gorącej czekolady czy zająść batonikami. Na tym samym podwórku babcia często pojawiała się z hot dogiem i sernikiem w ręce.

Sytuacja nieco odmieniła się po przeprowadzce do Warszawy. Ze względu na pracę moich rodziców często musiałam zmieniać miejsce zamieszkania, znajomych, otoczenie. W stolicy zaczęły spotykać mnie nieprzyjemności. Dzieci z tutejszego podwórka nie były już tak wyrozumiałe. Często zamiast pytania: „Jak masz na imię?” słyszałam: „Ile ważysz?”. Te słowa bardzo raniły. Tym bardziej że na warszawskim podwórku brakowało też babci z pocieszającymi smakołykami. Podobnie reagowali na moje gabaryty znajomi w szkole. Kiedyś na lekcji WF-u odbywały się zawody w rzucaniu piłką lekarską. Nie chciałam brać w nich udziału, ale koleżanki stwierdziły, że będę idealną zawodniczką. „Jesteś gruba, to i silna – wygramy!” – zdecydowały. Pomimo lęku spróbowałam. Dziewczyny dopingowały Karolinę-grubaskę. Niestety na marne... Przegrałyśmy. To upokorzenie niczym film odtwarzało się w mojej pamięci za każdym razem, gdy próbowałam coś zjeść. Moją głowę wypełniały czerwone lampki, które włączały się w obecności przekąsek. Radary przypominały, że bycie grubą nie sprzyja lekcjom WF-u i pozyskiwaniu nowych znajomych. Pamiętałam wciąż śmiech i wypowiedane szyderstwa, gdy piłka lekarska, którą rzucałam, poleciała w zupełnie innym kierunku. „Taka beka, a nawet piłki nie podrzuci dobrze! Straciłyśmy punkty przez ciebie, baryło!” – krzychały wtedy koleżanki z klasy. Później zaś krzychała choroba: „Wara od czekolady! Chcesz się zataczać jak beczka? Mało piłek w życiu widziałas? Patrz na swój brzuch! I co, pierdoło, gdzie twoje żebra? Nie ma?! Znów się nażarłaś, ty gnoju! Nawet do głodzenia się nie nadajesz. Nic dziwnego, że zawsze przegrywasz, śmierdziu”...

(...)

Bez względu na powody, wiedziałam, że skoro już wybudowałam wokół siebie mur, to będę za niego wpuszczająca tylko mile widzianych gości. Bratnie dusze warte mojej przyjaźni. Tym niepożądanym, niegodnym zaufania zamknę furtkę przed nosem. To stało się silniejsze ode mnie. Nie umiałam już być otwarta, ufna. Dałam sobie prawo do tego wybiórczego podejścia do ludzi. Skoro oni kiedyś wzgardzili mną, teraz ja mogłam niektórych z nich nie dostrzegać. Za to anoreksja nie opuszczała mnie ani na krok.

To ona spędzała ze mną szkolne przerwy, to ona trzymała za rękę w czasie odpowiedzi przy tablicy. Dzięki niej czułam się pewna siebie i nie bałam się innych. Miałam świadomość, że przy mojej „przyjaciółce od serca” już nie jestem tą grubaską z podstawówki. Robiłam zatem wszystko, by być jeszcze bliżej niej. Ustalanie diet, rozpisywanie posiłków, planowanie i wymierzanie kalorii zajmowało dziewięćdziesiąt procent mojego dnia. Cena, jaką musiałam płacić za mą „bratnią duszę”, była wysoka. Z czasem polubiłam nawet te wielogodzinne, anorektyczne rytuały. Po ich odprawieniu pozostawało mi jakieś dziewięć procent dnia, które spędzałam na uczeniu się. Ostatni jeden procent doby przeznaczalam na inne czynności – mycie zębów, ścielenie łóżka i sen.

Wkrótce okazało się jednak, że na dłuższą metę ten system nie sprawdza się. Jedzeniowa obsesja szybko nakręciła korbę stresu. Rozpisywanie diet miało mi pomagać, a zaczęło przeszkadzać. Stawałam się coraz bardziej nerwowa, wszystko mnie drażniło i irytowało. W szkole nie potrafiłam się w pełni skoncentrować na lekcjach. Wciąż miałam poczucie, że muszę zaplanować jedzenie! Zamiast notować informacje o Władysławie Łokietku, kalkulowałam wartości odżywcze mojego śniadania. Egzaminy sprawiały coraz większe trudności. Nie potrafiłam przypomnieć sobie podstawowych terminów czy wydarzeń. W pustą lukę obok „Data Bitwy pod Grunwaldem” umiałam wpisać jedynie dziewięćset kalorii...

Najgorsza jednak była walka z mamą. Ona błyskawicznie zauważyła, że dzieje się ze mną coś niedobrego i początkowo na siłę starała się mi pomóc. Nasz poranny wyścig do kuchni przypominał zawody na śmierć i życie. Jednocześnie kroiliśmy chleb (ja byle cieńsze kromki), jednocześnie łapałyśmy za drzwiczki lodówki, by wyjąć jakieś dodatki (ja byle serek light). Ostatecznie zjadałam i tak tylko połowę z przygotowanych kanapek. Ten początkowo niegroźny (ale jak nerwowy!) wyścig zamienił się szybko w ewidentną walkę o życie. Na ringu stanęła mama i anoreksja.

Trzeba przyznać, że dość szybko stałam się „legalną anorektyczką”, którą oficjalnie zaliczono w poczet zaburzonych jedzeniowo. Założono mi kartę pacjenta. Przystępowano na czoło niewidzialną pieczętkę z napisem: *anorexia nervosa*. Wszystko to w warszawskim Centrum Psychoterapii, gdzie zabrała mnie właśnie mama. Najpierw jednak miałam trafić do gabinetu prywatnego. Sprytnie znalazłam pretekst, by dać nogę. Z udaną troską rzuciłam, że nie chcę, by mama wydała ciężko zarobione sto złotych na urojenia bez pokrycia. I tyle mnie widzieli... Nie do przyjęcia było dla mnie twierdzenie, że moje diety to choroba. Mama nie dała za wygraną i szybko znalazła poradnię państwową. Nie miałam wyjścia. Brakowało mi argumentów, a może sama zaczęłam powoli czuć, że rzeczywiście mam problem. Choć nie potrafiłam okazać mamie wdzięczności, cieszyłam się, że próbuje mi pomóc, bo anoreksja coraz bardziej zaczynała męczyć.

Wysysała ze mnie nie tylko tłuszcz, ale i siły witalne, chęć do życia. Z jednej strony kochałam ją za nowe ciało, dodawanie pewności siebie i odwagi. Z drugiej – nienawidziłam i miałam dość myśli krążących obsesyjnie wokół kalorii. Brakowało mi oddechu. Mocny, zaborczy uścisk anoreksji dusił. Nie chciałam z nią rozvodu, ale separacji owszem. Nie za długiej, ale takiej, by nabrać sił do dalszego wspólnego życia. Wcale nie zamierzam jej zdradzać, wydawać na pastwę medycyny. Chciałam ją tylko prosić, by dała mi trochę od siebie odpocząć. (...)